Nr. 5. We Lwowie dnia 18. Września 1872. **Rocz. IX**



Wychodzi dwa razy na miesiąc.
Kosztuje:
rocznie . . 4 złr. 40 ct.
dla szkółek 3 „ 30 „
(Wrazie zwiększenia liczby prenum. 3 razy na miesiąc.)
Adres Lwów Nr. 35⁴/₄.

OPIEKUN DZIECI NASZYCH.

Dawne roczniki od I. do VII. razem 13 złr., i każdy pojedyńczo dla szkółek ¹/₄ mniej, tudzież wszystkie książki dla dzieci w polskim i francuskim języku dostanie w adm. „Opiekuna.“

Moralność.

Chrystus Pan, chcąc pokazać ludziom moc Swojej nauki i przepowiedni, powiedział: *„niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą“*, i kazał mieć się na baczeniu, aby serce i dusza ludzka nie były obciążone grzechami i zdrożnościami. Od tego baczenia nie wyłączył Zbawiciel nikogo i nie powiedział, że starsi tylko niech mają pieczę nad swojem sercem i duszą, a młodzi są od tego zwolnieni.

Więc i wy — baczcie na siebie i każdy wasz czyn, każdą myśl i słowo, pilnie rozważajcie. — Szczególnie strzeżcie złej w sobie myśli, bo ta bywa początkiem największych później zdrożności.

Pewien chłopczyk, ile razy przechodził około ogrodu sąsiada swoich rodziców, zawsze spoglądał na wiszące na gałęziach gruszki i mówił sobie: „ach! jakie one smaczne być muszą, jakżebym chciał jedną z nich dostać.“ Z początku myśl ta przychodziła mu do głowy tylko wtenczas, gdy około ogrodu przechodził; później nagabywała go i w domu, z początku rzadko, potem coraz częściej, raz nawet śniło mu się, że gruszkę urywa, wreszcie tak go opanowała, że mu gruszka i ogród sąsiada ciągle stały w myśli, tylko wzdychał i oblizywał się. Wreszcie nie mógł wytrzymać, cichaczem wsunął się do ogrodu, wspiął się na drzewo, i prawie z samego wierzchołka runął na ziemię i złamał nogę.

Znałem tego chłopczyka osobiście.

Chorował długo i nie dokończył przerwanych nauk. Dzisiaj biedak jest kulawy i biedny, a co tego największym i pierwszym powodem? Oto jedynie to, że złej myśli dał przystęp do swojej głowy i bawiąc się nią, pozwolił rozgospodarować się jej w samym sobie, a ta wciągnęła go do złego.

Pamiętajcie więc strzedz się pilnie przed każdą złą myślą, starajcie się zaraz takową wyrugować z głowy, a dopniecie tego, jeżeli szczerze modlić się będziecie do Pana Jezusa temi słowy: *„Panie strzeż* mię od złego“ — i jeżeli przestrzegać będziecie uwag i napomnień waszych rodziców i nauczycieli.

Kochaj! Módl się! Pracuj!

Kochaj ojca, matkę, braci,
Kochaj siostry i świat cały...
Na miłości nikt nie traci,
Nieba ją dla szczęścia dały.

Módl się gorąco i szczerze,
Słowem myślą, każdym czynem...
Żyj, umieraj w świętej wierze,
Bo ta twoim jest wawrzynem.

Pracuj ile siły mogą,
I dla drugich i dla siebie...
A zmęczony życia drogą,
Odpoczynek znajdziesz w niebie.

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

(Ciąg dalszy.)

„W szczupłem mieszkaniu macochy, którą próżniactwo moje bynajmniej nie obchodziło, miałem mieszkanie moje na strychu, do którego po drabinie wchodziłem, gdzie tylko na pościeli mogłem siedzieć, pisać lub czytać gramatykę. Tam między innemi rzeczami, postrzegłem wór papierów po ojcu moim zebranych. Między listami, rejestrami, było wiele drukowanych na arkuszach i pół arkuszach mów sejmu czteroletniego, wierszy najwięcej na imieniny różnych panów lub króla Stanisława, jak to bywało zwyczajem, iż podobne rzeczy osobno drukowane, po wszystkich się domach rozchodziły prędzej niż gazety i książki. Z chciwością wielką odłączałem te skarby mojej lektury od papierów na nic nie przydatnych, a biorąc po zwitku w pole, czytałem głośno, to mowy, to wiersze. Wiersze sprawiały mi rozkosz, jeżeli w nich jakie porównania, jaki obraz znalazłem. Ubogie to było żniwo: powinszowań Naruszewicza, ks. Żukowskiego, lecz były i niektóre Trembeckiego bez podpisu, które mi się nieskończenie wyższe zdawały i w pamięci utkwiły. Te jednak wiersze, lubo wcale dla mojego wieku i moich skłonności niestosowne, obudziły we mnie chęć pisania, a przynajmniej naprowadziły mnie na poznanie zewnętrznego składu wiersza. Póki jeszcze służyła pora jesienna, chodziłem w pole i ukryty w gęstwinach układałem w rymy, co mi do głowy przyszło, jak pisklę w gnieździe, które instynktem danym wiedzione, inne ptaki naśladować usiłuje... Najczęściej śpiewałem nuty od wieśniaków słyszane, a sama melodja naprowadzała mnie na wyrazy. Były to wyrazy tęsknoty za matką, której nie znałem, i więcej jeszcze piosneczki miłośne, proste naśladowanie dumek od żniwiarek słyszanych. Przecież zbliżyła się wiosna razem z Wielkanocą. Zajmowało mię wielce nabożeństwo wielko-tygodniowe, a przez znajomość z organistą, należałem w części do czynności kościelnych. Uderzyły mię szczególnie śpiewane przez niego psalmy przy grobie Chrystusa. Śpiewałem je z nim samym później kolejno, nazajutrz całe rano i popołudniu sam nie ustawałem śpiewać, a organista z ochotą dał się wyręczyć. Nigdy nie zapomnę uroku, jaki na mnie wtenczas sprawiły tak śpiewane pieśni Dawida! Po skończonej uroczystości Wielkanocnej, potrafiłem uprosić u organisty książkę, której używał, czytałem i śpiewałem w polu, uchodząc najdalej, żeby mię ludzie nie słyszeli. Pogodziłem się z zarzuconą gramatyką łacińską i czułem słodycz tego języka. Marzenia moje zaczęły być nie już tylko poetyczne ale i religijne, a od smutku i tęsknoty do błogiej wesołości i nadziei mych marzeń przeszedłem. W tym właśnie czasie odebrałem list od brata Andrzeja, który z uniwersytetu lwowskiego przybył do stryja, mającego znaczne probostwo w Wojniczu, o cztery mile od Rajbrodu. Co to była za radość moja czytać list cały o poezji, której się brat mój z największym zapałem ciągle oddawał, i dołączone do niego przekłady wierszem niektórych rozdziałów Tomasza à Kempis, a nawet całej trajedji przez niego napisanej pod tytułem: „Ludgarda“. Posłałem mu nawzajem moje ramoty, odebrałem odpowiedź zachęcającą, pełną miłości braterskiej i poezji. Już i psalmy i płynąca z nich osłoda nie były mi wystarczające. Nie sypiałem z tęsknoty do brata, do jego książek.“

Wprawdzie Wojnicz od Rajbrodu przydzielają tylko cztery mile, ale dla chłopca niemającego grosza przy duszy, uwijającego się po polach w resztkach dodzierających się sukien i w dziurawych butach, nieznającego świata — ludzi, przestrzeń ta była prawie nie do przebycia. Jednak czegoż nie dokaże gorąca chęć i silne postanowienie. Dzięki surdutowi przerobionemu gdzieś na wsi ze starego surduta liberyjnego znalezionego pod strychem, i księdzu wikaremu z Lipnicy, który dostarczył konia i przewodnika, Kazimierz stanął w wojnickiem probostwie, do którego tak wzdychał. Ksiądz stryj, którego już i tak bardzo liczna obsiadła była rodzina, z razu kwaśno, nawet szorstko przyjął nowego przybysza, ale w krótce udobruchał się, pomyślawszy, że przy tylu innych, niewiele on mu doda kłopotu. Znalazłszy się w gronie braci i sióstr, rodzonych i stryjecznych, otoczony miłością i poezją, której z zamiłowaniem

oddawała się cała rodzina, nie wyłączając księdza proboszcza, Kazimierz poraz pierwszy w życiu pełną odetchnął piersią. Wszystko czego pragnął, miał teraz około siebie: obfitość książek mianowicie poetycznych i dużo serc kochających. Szybko też upływał czas w Wojniczu na wspólnem czytaniu poezji, mianowicie sielanek Gessnera i na pisaniu wierszy, po większej części naturalnie w Gessnerowskim guście. Perjod ten życia odbił się też i na późniejszych utworach Kazimierza, cechując je w znacznej części skłonnością ku idylli i sentymentalizmem zaczerpniętym z niemieckiego sielankarza.

Życie w Wojniczu za nadto wielkiem było szczęściem dla Kazimierza, ażeby miało trwać długo. Niebawem jakoś grono rodzinne poczęło się zmniejszać, rozjeżdżając się w różne strony, to bliższe, to dalsze, a w końcu nawet i brat Kazimierza Andrzej opuścił plebanję, dostawszy miejsce sekretarza przy staroście Dębskim. Kazimierz pozostał jeszcze jakiś czas u stryja, widując się choć czasem ze swojemi ukochanemi, a w ich nieobecności pocieszając się choć książką; ale gdy nie długo potem okazał się jakiś fundusik zebrany z pozostałości po ojcu, Andrzej pojechał znów do Krakowa, a Kazimierz wrócił do szkół tarnowskich. (C. d. n.)

WYRODEK.

Powiastka z prawdziwego zdarzenia.

(Ciąg dalszy).

Kiedy tak stały rzeczy, nasz *Wyrodek* pewnego razu napadłszy na indyka, co rozdrażniony przezeń, śmiał mu skoczyć do oczu i dziobem go w głowę ugodził, ze złości mu skrzydła wykręcił i ogona całkiem pozbawił; a gdy go ojciec za tę niegodziwość ostro ukarał, opętaniec swoim zwyczajem wnet puścił się szukać odwetu i w pasji prawie szalonej, wytropiwszy skaleczonego wroga, rzucił się nań ze swoim batożkiem i nuż chłostać go z całej siły! Biedny indyk, mimo kalectwa, z bolu i ze strachu pomknął tak chyżo, iż się niebawem o staj parę odeń odsadził i wyciągnąwszy szyję, wlokąc skrzydło złamane, drugie zaś rozwijając próżno do lotu, chyłkiem na oślep pędził dalej i dalej, nasz *Wyrodek* za nim, zziajany, rozwścieklony jak dzikie zwierzę, i coraz to zapamiętalszy, coraz to zawziętszy na ptaka, co nieszczęśliwy nie chciał jego zemście służyć za pastwę.

Z podwórza folwarcznego przerażony indyk wypadł na pole, a *Wyrodek* wciąż go ścigając, chwytał to kamienie, to bryły ziemi i ciskał weń zażarcie, drżąc z radości ilekroć trafił i jęk wydarł biednej istocie, tak zaciekle prześladowanej. Obaj nareszcie dostali się na leśny porąb, gdzie stały drwa w stosy złożone. Tam indyk w szczęśliwszej się znalazł pozycji i mógłby niewątpliwie, gdyby tylko nóg nieżałował, wywinąć się napastnikowi, który o pni i łomy zawadzając na każdym kroku, często potykał się i padał i coraz to dalej za nim zostawał; ale biedak, czy to że z przestrachu stracił przytomność, czy że sił mu wreszcie zabrakło, przebiegając mimo wielkiego stosu potężnych kłód dębowych i ujrzawszy dziurę pomiędzy niemi, w mgnieniu oka wpadł w nią i ukrył się.

Spostrzegł to na nieszczęście *Wyrodek* i niebawem tamże dotarłszy, wrzący zemstą nienasyconą, rozjuszony guzami i sińcami, złapanemi w próżnej pogoni, przypadł do stosa, rozciągnął się na ziemi, wetknął głowę pomiędzy kłody i zoczywszy przyczajonego ptaka, zaskowyczał jak pies rozżarty, do którego wtedy był podobniejszym, niźli do rozumnej ludzkiej istoty. Sięgnął ręką, lecz dostać nie mógł; chwycił tyczkę jednę i drugą, lecz i te nie pomagały; zabiegł z przeciwnej strony, szturchał długo zawzięcie, lecz i to się na nic nie zdało, grzmocił kijem po bokach stosu, wrzeszcząc co sił stało, by w ten sposób wroga wypłoszyć, lecz również bezskutecznie. A że im więcej przeciwności spotykał, tem zwykle się stawał zawziętszym, i że musiał koniecznie w złem na swojem postawić, więc raz jeszcze w dziurę zajrzawszy, postanowił do niej się wcisnąć i jeśli nie rękoma ująć indyka, to przynajmniej tyczką dosięgnąć i tłuc póty, póki nie zamorduje.

Otwór był tuż przy ziemi. *Wyrodek* się na niej plackiem położył i jakby żmija czołgając się płazem powoli, coraz to się głębiej i głębiej wciskał, aż się cały nareszcie schował...

A było to w parny dzień letni, grożący niewątpliwą burzą gromową, która jak raz tej chwili, gdy *Wyrodek* w pogoń się puszczał, już się wysuwała z pod widnokręgu, płynąc na czarnej chmurze, mroczącej coraz dłuższym i szerszym pasem południowy kraniec błękitów; gdy zaś on był przy stosie, to już obłok, jakby olbrzymi całun, rozpostarł się na niebie, część sklepienia jego zająwszy, już jak węże ogniste, jedna za drugą błyskawice po niem przebiegały i głuchy grzmot słyszeć się dawał i wicher się zrywał co chwila, i choć rzadkie, ale bujne i ciężkie krople rzucał w rozpaloną twarz okrutnika; rzekłbyś, że sam Bóg chciał go otrzeźwić z szalonego zapamiętalstwa i powściągnąć od nowej zbrodni. Lecz niegodziwy chłopiec w takiej wtedy był zaciekłości, iż ni wichru, ni deszczu nie czuł, ni chmury, ani błyskawic nie widział, ani grzmotu nawet nie słyszał.

*

Wsunął się więc pomiędzy kłody, a w ślad za nim lunęła ulewa, niebo całe w ogniu stanęło, zatrzęsła się ziemia od trzasku gromów i od straszliwego ryku orkanu, pod którym się najgrubsze drzewa uginały, jak wątłe trzciny, lub jak kosą ścięte padały.

Trwało tak z parę godzin, a przez cały ten czas *Wyrodek* nie wyłaził ze swej kryjówki, bo też mu zapewne lepiej tam było, niżby pod gołem niebem. (Ciąg dal. nast.)

Czerwonak.

Czerwonaki należą do rzędu brodzących, t. j. żyjących w pobliżu bagien i w nich po większej części znajdujących pożywienie. Ptak ten ma, jak widzicie, długą szyję i długie nogi, a że w miarę lat zmienia barwę swych pierzy i z siwawo-białego staje się purpurowo-czerwonym, więc dlatego nazwano go Czerwonakiem, a niektórzy dodają karmazynowym. Podobne przydatki lubią czasami i ludzie przyczepiać do nazwy właściwej. Znałem włościanina, co go zwano *kroczakiem*, bo chodził krokiem szerokim, chwiejąc się to na prawo, to na lewo; innego zwano *tyka*, że trzymał się prosto, innego wreszcie zwano *płaczkiem*, a brata jego *śmiejuchem*, bo gdy jeden narzekał — drugi w każdej chwili gotów był do śmiechu. Ale znałem i takich, co ich zwano: *niezgodą*, *gawronem*, *wydrusem* itp. a z samych tych nazw łatwo się domyślicie, że pewno pierwszy musiał być wielkim kłótnikiem, — drugi nierozgarniętym ślamazarnikiem, a trzeci łapczywym na cudzą pracę.



Czerwonak.

Czerwonak nie jest takim, żyje sobie w Afryce na brzegach Śródziemnego morza, ale zagląda i do Europy i niekiedy za Ren zalatuje.

Nie jest on większy od gęsi, ale stojąc na wysokich nogach z szyją wyprostowaną, dochodzi wzrostu dorosłego człowieka. Żyją one jak żórawie i dzikie gęsi dużemi stadami, przelatują z okolicy w okolicę z wielką łatwością, gdyż lot mają wyborny, a żywią się po większej części rybami, mięczakami, owadami, jajami i pisklętami wodnych drobniejszych ptaków, czyli tem samem czem bociany. Szukając w bagnie pożywienia, głowę przewracają jak to na rycinie jest przedstawione, a to dla tego, aby wyższej części dzioba wygodniej użyć mogły.

Ponieważ dla zbyt długich nóg nie mogłyby siedzieć na jajach jak inne ptaki, przeto budują sobie gniazda z mułu, wysoko na łokieć po nad wodą, i spuściwszy nogi po bokach, wysiadują jaja jakby na koniu jechały. — Choć więc w bagnie brodzą, mają jednak właściwy sobie rozum i dla tego zapewne dawni Grecy i Rzymianie, mózg ich i języki uważali za delikatny przysmak i na wspaniałych ucztach podawano je w potrawie na wielkich półmiskach. Ale był to szkaradny naganny zbytek: ileż to bowiem na jedno danie zabić musiano Czerwonaków, aby mózgiem ich zaspokoić łakomstwo biesiadników?! Trzeba było przytem wielu myśliwych zająć polowaniem, ubite ptaki, a przynajmniej ich łby przewieść przez morze do Rzymu; więc potrawa taka niemało kosztowała grosza, na który zapracować musieli liczni niewolnicy, niewięcej cenieni jak domowe bydło. Przez zbytek też i obżarstwo upadł starożytny Rzym i z wielkiego tego państwa nic więcej nie zostało, tylko to co rozum zapracował — mądre księgi; reszta zaś, co była owocem dumy, w gruz się rozpadła. Strzeżcie się więc pychy jak ognia i pamiętajcie, że nie na to człowiek stworzony, żeby jadł, i szczególnie dogadzał swemu łakomstwu, ale dla tego je, żeby nie był głodny, żeby syty w miarę miał siły do pracy i nauki.

Czerwonaki czasami wznoszą się bardzo wysoko po nad ziemię, a że lecąc wyciągają nogi w tył, szyję naprzód, a skrzydła na boki i tym sposobem tworzą podobieństwo do krzyża, zalatując więc na europejski ląd, stawały się wielkim podziwem dla ludzi zupełnie ich nie znających. Wyobrażano sobie, że krzyż, który tworzyły, jest

jakiemś cudownem nadprzyrodzonem zjawiskiem, zwiastującem wielkie klęski i nieszczęścia, i z trwogą niewymowną wieść o tem rozszerzano. Pilniejsze badania przyrody, czyli jednem słowem nauka, baśni te rozjaśniła, i dziś wiedzą w okolicach tych wszyscy, że to nie krzyże cudowne, ale ptaki zwane Czerwonakami. Z podobnemi wieściami nieraz się spotkać możecie; nie dajcie im też od razu wiary, ale pytajcie starszych, rozumnych ludzi, a ci was najlepiej objaśnią.

Co się dzieje z pokarmem po jego połknięciu?

Wiecie już, że w człowieku odbywa się ciągłe odnawianie jego całej budowy, czyli wymiana cząstek zużytych na nowe. — Wymiana ta nieustając na malutką nawet chwilkę, według wyrachowań naukowych, zupełnie przemienia nas przez lat siedem, to jest, że po upływie tego czasu, całe nasze ciało nie posiada już najmniejszej cząsteczki, jaka w niem przed siedmią znajdowała się laty. Czynność ta wewnętrzna bardzo ciekawa, godna jest bliższego poznania.

Jedząc, pokarm zżuty w ustach czyli przerobiony śliną a następnie połknięty, dostaje się do żołądka. Zżucie to należy dobrze dopełnić, bo pokarm poprzecinany zębami tylko na małe kawałki i połknięty z trudnością ulega strawieniu.

Zwierzęta pod tym względem zupełnie inaczej są uposażone. Mięsożerne jak n. p. psy domowe, łykają pokarm bez najmniejszego prawie gryzienia.

Ptastwo żywiące się ziarnem, owadami i wszelkiem robactwem, w dziobkach swych nawet nie ma zębów.

Widzieliście zapewne nieraz gromadę drobiu albo gołębi uwijającą się nad posypanem im ziarnem, jaki to tam między niemi pospiech, jaki stukot dziobkami i jak w jednej chwili wszystko przez łakomą rzeszę, do najmniejszej odrobinki zebrane i połknięte zostaje. Za każdem stuknięciem dziobka, jedno ziarnko przesuwa się przez gardło, drugie pochwycone zaraz sunie się za niem, jeżeli zaś czasem przez zbytnie łakomstwo czynność ta za prędko się odbywa, i nowe ziarno wsunięte w gardziołek napotka inne jeszcze nie przełknięte, wówczas kura, indyk lub gołąbek prostują się, wyciągają szyję i póty poruszają grdyką, aż zupełnie przełknięcie nastąpi. Wszystko to dowodzi: że ptastwo domowe połyka pokarm, bez żadnego przerobienia go w dziobach, to samo i zwierzęta, wyjąwszy zwierząt przeżuwających i ogólnie nie mięsożernych. Zdaje się więc, że smak w zwierzętach mało jest rozwinięty, i że w znacznej części cała w nich przyjemność jedzenia, zasadza się na uczuciu jakiego doznają przez zaspakajanie głodu.

W zamian za to obdarzone zostały niezmiernie czynnym żołądkiem, łatwo wszystko trawiącym.

Kiedy więc pokarm w ustach ludzkich, pomieszany ze śliną zostanie połknięty, w żołądku ze ścian jego natychmiast wydobywa się płyn zwany sokiem żołądkowym, który przy pomocy wewnętrznego ciepła maceruje go, przerabia i zamienia w pewien rodzaj papki, złożonej jakby z drobnych kaszkowatych cząsteczek. Sok ten żołądkowy, najgłówniejszy czynnik trawienia, przez ludzi nauki do tego stopnia został wybadany i poznany, że go w laboratorjach chemicznych wyrabiają sztucznie i potem używają do doświadczeń, w celu poznania całej czynności trawienia.

Jak więc tylko praca żołądka, zwana trawieniem, należycie dopełnioną zostanie, dolny otwór jego zamknięty przez cały czas trawienia pewnym rodzajem muskułu, otwiera się i papka pokarmowa spływa do kiszek poplątanych z sobą w licznych zakrętach. Czynności tej żołądka napychaniem w niego nowego pokarmu nie należy przeszkadzać, bo takowy jako świeży z dawnym pomięszawszy się, dokładnemu przerobieniu nie ulegnie i na w pół strawiony do kiszek wypchnięty zostanie. Dla tego człowiek raz tylko na dzień właściwie się najada, podczas objadu, śniadania zaś i wieczerze są tylko małe dokładki, dopełniające potrzebnej ilości zmniejszonej przez macerację. — Jeść więc tylko wtenczas należy, gdy się czuje głód prawdziwy, zaspokoiwszy go, pobieranie pokarmu powinno być natychmiast przerwane, bo to jest znak, że żołądek ma właśnie tyle w sobie materjału ile rzeczywiście potrzebuje. Ludzie najczęściej nie zważają na to, i powodowani łakomstwem, jedzą więcej jak należy, ztąd pomału powstają różne choroby, psucie się całego organizmu, niedołężnienie i śmierć przedwczesna.

Papka dostawszy się do kiszek, miesza się z nowym płynem zwanym śliną brzuszną, pomagającą do dalszego jej trawienia czyli wyrobienia delikatnego soku zwanego pokarmowym i zawierającego w sobie wszystkie części potrzebne do żywienia całego ciała. — W kiszkach zatem ostatecznie papka rozdziela się na dwie części, na sok pokarmowy i na części niezdatne do żywienia, które też z kiszek usuwane zostają. Nim jednak to nastąpi, papka cała tak jak wyszła z żołądka, przerabiana ze śliną brzuszną, za pomocą ruchu kiszek zwanego robaczkowym, podobnym bardzo do poruszeń glisty ziemnej, przesuwa się przez całą długość owych kiszek. Jakim więc sposobem,

zapytacie zapewne, sok ów pokarmowy oddzieli się od części nieużytecznych, aby przynieść posiłek ciału, a nie zostanie razem z niemi na zewnątrz wyrzucony?

Oddziela się jednak cudownym nader sposobem, tak jak w naturze wszystko jest cudownem i zdumiewającem.

Kiszki na błonce swojej wewnętrznej mają pełno malutkich, zaledwie przez mikroskop dojrzanych brodaweczek, zwanych naczyniami wsysającemi, dla tego, że posiadają własność wsysania owego delikatnego płynnego soku pokarmowego. W miarę więc przesuwania się papki przez kiszki, one ze wszystkich stron sok ów wsysają i zaraz cieniuteczkiemi niezmiernie rureczkami wyprowadzają go na zewnątrz. Rureczki te w dalszym ciągu łączą się w większe: — z większych powstają jeszcze większe, aż wreszcie wszystkie zbiegają się z sobą przy kości pacierzowej i łączą w jeden główny kanalik, prowadzący do serca. Przez taką podróż dosyć długą, sok ów pokarmowy staje się krwią ale jeszcze niezupełnie wykształconą, a żeby nią został, musi się utlenić, czyli połączyć z powietrzem, do czego głównie służą serce i płuca.

Do jednej więc połowy serca krew owa spływa, serce się kurczy i wypycha dalej: — potem kanalik główny od serca rozdziela się na mniejsze, te znowu się rozgałęziają na jeszcze mniejsze, aż wreszcie tworzy się sieć niteczek rurkowatych, niedostrzeżonych okiem ludzkiem, prosto kierujących się ku płucom. We wszystkich tych niteczkach płynie owa krew potrzebująca połączenie się z powietrzem; że zaś płuca złożone są z malutkich jakby pęcherzyków otoczonych błonką, że owe delikatne niteczki wsuwają się między ściany tych pęcherzyków, krew więc niejako przejmuje całe płuca. Że zaś za każdym oddechem, pęcherzyki owe napełniają się powietrzem, a błonki tak otaczające je jak i niteczki krew przeprowadzające mają pewną tajemniczą z sobą łączność, gdy więc pęcherzyk napełni się powietrzem, krew chwyta z niego tlen a wyrzuca wszystkie gazy, zabrane z sobą w długiej podróży po ciele, które wydechem płuca z siebie wydalają. W taki to sposób krew się utlenia czyli zamienia na właściwą krew. będącą jedynym pokarmem naszego ciała.

Dokonawszy tego, z przewodów niedostrzeżonych okiem zmieniających się na niteczki i kanaliki coraz widoczniejsze, krew spływa do drugiej połowy serca, zkąd żyłkami znowu coraz bardziej zmniejszającemi się, niedostrzeganemi już nawet przez mikroskop, rozchodzi się po całem naszem ciele, dostaje się do kości, szpiku, włosów, paznokci, wszystkich organów i naczyń, do każdego najdalszego kącika i żadnej cząsteczki ciała ludzkiego nie omija. O tej siatce żył i żyłek rozgałęzionych w człowieku, trudno nabrać właściwego wyobrażenia, taka ich znajduje się obfitość i tak są drobnemi i delikatnemi. Obecność ich najjaśniej przedstawia się przy najmniejszem skaleczeniu ciała, choćby ukłuciu szpilką, natychmiast w miejscu obrażonem krew pokazującem. — Widocznie więc są wszędzie i nie ma tak delikatnego ostrza, któreby dało się w ciało nasze wsunąć, bez naruszenia jednego z narzędzi krew przeprowadzającego.

Z opisu płuc wiecie już, że te złożone są z malutkich pęcherzyków zamkniętych błonką, że pomiędzy ścianami tych pęcherzyków delikatne żyłeczki przesuwając się, tajemniczym sposobem wciągają w siebie tlen powietrza z pęcherzyków a wdychają w nie gazy zabrane z ciała. Wiecie także, że objawem tej czynności jest ciągłe przez nos i usta odbywające się oddychanie, czyli wciąganie do płuc powietrza i wydychanie go z powrotem. Otóż karmienie ciała przez krew i ciągłe go odnawianie tym samym zupełnie odbywa się sposobem. Ciało nasze całe złożone jest z malutkich komórek, ale tak malutkich, że widziane być mogą tylko przez nader dobre mikroskopy. Komóreczki te zamknięte są błonkami; pomiędzy nie wsuwają się owe delikatne przewody ze krwią, która przepływając przez błonki, wstrzykuje niejako cząsteczki z siebie potrzebne do zasilenia wnętrza komórki i jednocześnie za pomocą tlenu z powietrza w płucach zabranego, z wnętrza tego zabiera części zużyte. Krew czynność tę przez całą swą podróż po ciele ludzkiem odbywa z największą punktualnością, ciągle oddaje i zabiera, wszędzie zajrzy, wszystkiego dotknie, jak skrzętna gospodyni, co myśląc żeby domownicy byli nasyceni, każdą rzecz oczyści z kurzu, nigdzie nie pozwoli na gromadzenie się śmieci, pajęczynę omiecie, w każdy zajrzy kącik, i każdy przedmiot stara się utrzymać w największym porządku. — Krew wreszcie odbywszy tę swoją czynność, przewodami zmieniającemi się na coraz większe i widoczniejsze przechodzi wreszcie do owego kanaliku głównego, znajdującego się w okolicy kości pacierzowej i tam spotkawszy się z sokiem pokarmowym wyrobionym przez żołądek a wyssanym przer brodaweczki kiszkowe, miesza się z nim i przez serce udaje się do płuc. W płucach jak wiemy znowu nabiera tlenu a gazy zabrane z ciała jako niepotrzebne wydycha. Ten obrót krwi dopóki człowiek żyje, odbywa się ciągle bez najmniejszej przerwy i ustaje dopiero z jego śmiercią. Opis ten starajcie się jak najdokładniej zrozumieć. — Pokarm bierzecie codziennie, godzi się więc wiedzieć co się

z nim dzieje po połknięciu. — Od dokładnej bowiem jego przemiany na krew, zależy zdrowie całego naszego jestestwa, które jest jedynym prawdziwym skarbem człowieka, zwłaszcza że raz utracone nie wraca nigdy i w zamian rześkości i swobody, daje cierpienie bardzo bolesne. W prawdzie utrata zdrowia nie zawsze z naszej pochodzi winy, ale często niszczemy je przez nadużycie w jedzeniu, — zwane łakomstwem. Znajomość przerabiania się w nas pokarmu powinna od tego ochronić, dla tego spamiętanie całego powyższego opisu będzie dla was bardzo pożyteczne.

Rozmowa ojca z dziećmi.

O PORZĄDKU.

— Kaziu! jakiż to nieporządek pomiędzy twojemi książkami: jedne na stole, drugie na oknie, z jedną widzę Jaś się bawi i rycinka z niej wydarta.

— Zaraz ojcze, ułożę znowu. Niech ojciec każe Jasiowi, aby oddał książkę, bo on sam niechce i płacze.

— Ot widzisz, Jaś płacze, robisz mu przykrość, ja muszę się w to wdawać i na was obydwóch gniewać. A czyby to przyszło do tego, gdybyś swoje rzeczy, jak ci to tyle razy powtarzałem, w porządku utrzymywał, a Jasiowi do zabawki zostawił same cacka? Teraz już cicho. Dajże mi powiastki Jachowicza, przeczytamy jedną i nauczymy się jej na pamięć. Tylko prędko, bo niewiele mam czasu.

— Mieciu! nie widziałeś powiastek? Wczoraj tu były, a dzisiaj niema. Mieciu!

— Znowu kłopot! Zamiast używać czasu pożytecznie, będziesz go trwonić na samo szukanie, przyczem ani się zabawisz, ani żadnej ztąd korzyści nie odniesiesz. Gdy nie znajdziesz prędko, zaczniesz się niecierpliwić, niespokojność cię utrapi, a mnie tymczasem zabraknie czasu i w końcu przyjdzie do tego, że się niczego nie dowiesz. Gdzież przecie podziała się książka?

— Proszę taty, to pewno Henryś zabrał ją wczoraj, bo swoją zgubił, a nasza tak samo jak jego oprawna była.

— A gdzież ją położyłeś ostatnim razem, kiedyśmy czytali?

— Zdaje mi się, że włożyłem do szafki.

— A mnie się zdaje kochanku, że tam nie musiałeś położyć. Pewno walała się po kątach, a Henryś, widać także nieporządny chłopczyk, łatwo mógł się pomylić, czegoby pewnie nie zrobił, gdyby książkę waszą widział w szafie; odrazu by poznał, że to nie jego. Cóż teraz będzie? Oto trzeba albo wyrzec się swojej własności, albo zrobić niepokój w domu Henrysia, który za swój postąpek musi być ukarany od rodziców i już swojej książki nie wyszuka, bo już kilka dni czasu przeszło, jak ją zatracił; co innego, gdyby się zaraz wziął do tego. Czy to przyjemnie dla was i dla nas: Henryś będzie miał żal do was, że go oskarżycie wtenczas, kiedy on zupełnie spokojny, ani się spodziewa bury. A za nieporządek onegdaj już został ukarany: samiście opowiadali, że rodzice chcieli go wziąć na przechadzkę, a potem w gościnę. Ale cóż? kiedy przyszło ubierać się, pokazało się, że wszystkie suknie miał powalane, musiał zostać w domu; płakał, prosił, ale nic nie wskórał. Jakże wyjść na ulicę brudno? To wstyd.

Niedawno także skarciłem was za gospodarowanie na mojem biurku. Poprzerzucaliście mi tam papiery i inne sprzęty, przyczem nie obeszło się bez szkody. Musiałem użyć czasu na uporządkowanie i poniosłem stratę od własnych dzieci: to bardzo przykro.

Oj bieda z wami! zapisze się to do dzienniczka, na dalszy rachunek, a tymczasem poczytamy Robinsona.

— Jestem gotów!

— Piękna mi gotowość! przejrzyjno się we zwierciedle, jak wyglądasz; twarz masz zamazaną, jak kominiarz, ręce czarne jakbyś ziemię grzebał. A uszanowanie dla ojca! Natychmiast mi się umyć i uczesać porządnie.

Wiele to czasu zeszło napróżno dla was i dla mnie! Wam może się zdawać, że to fraszki nic nie znaczące. Już wam mówiłem, że wasz rozum jeszcze nierozwinięty, nie możecie się więc rządzić i powinniście święcie słuchać napomnień starszych. co oni wam przekładają, to pewno dla waszego dobra. Widzieliście sami mniejsze skutki nieporządku, ale jakże nierównie ważniejsze w przyszłości.

Znacie Michasia, studenta. Ma piękne zdolności, niezgorzej się uczy, a promocji nie dostał i kto wie, czy po drugim roku dostanie, a dłużej nad dwa lata w jednej klasie siedzieć nie może. Skądże to pochodzi? poprostu z nieporządku. Nieraz książki zostawi w klasie i obejrzy się dopiero wtenczas, kiedy już por iść do szkoły i tym sposobem nie nauczy się lekcji. Napisze ćwiczenie. nawet starannie, cóż kiedy u niego w piaseczniczce zamiast piasku, jak porządek rzeczy wymaga, pełno atramentu, którym w najlepszej myśli zalewa robotę, i z niczem idzie do klasy. To już drugi raz mają dzwonić, a on w domu szuka czapki, spóźni się, zasłuży na karę i tak w kółko. Nie lubi nawet próżnować, ale w zatrudnieniach jego niema ładu; jedno drugiego się nie trzyma, a tym-

czasem zaniedbuje swoich obowiązków i źle na tem wychodzi.

Pana Piotra także znacie, co do nas często przychodzi na obiad. Nieraz mnie pytaliście się, dla czego on taki biedny i nieśmiały. Dla tego moje dzieci, że za młodu nie przyzwyczaił się do porządku i podobnym był w tym względzie do Michasia. Ze szkół poszedł do bióra, gdzie za staraniem ojca dostał pensję, z której można się było utrzymać, ale prry życiu porządnem; u pana Piotra zaś nieład w najwyższym stopniu: odzienie wiecznie podarte i poplamione, pieniądze po kieszeniach i po kątach ginęły, sam nie wiedział gdzie i jakim sposobem. Nie było za co sprawić nowej sukni; wypadło zaciągnąć pożyczkę, płacić od niej procenta i to nie małe, coraz gorzej, w końcu nie wystarczało na obiad. Ot tak i głodno i chłodno chociaż człowiek to moralny i bez żadnych innych złych nałogów. Zapewne, że smutnem nauczony doświadczeniem, poprawi się, ale tymczasem wieleż doznaje umartwień, często choruje, bo cierpi biedę, a wszystko powtarzam z nieporządku.

Od dzieciństwa zatem we wszystkich swoich czynnościach trzeba koniecznie zaprowadzić porządek i jego przestrzegać. Przez to nie będziemy marnować czasu, ani mienia swego: wiedząc o swoich zasobach, będziemy do nich stosować wydatki, a ztąd i przy miernych dostatkach wystarczymy sobie, nie staniemy się ciężarem dla drugich, nie wykroczym przeciw swoim obowiązkom. Spokojni i zadowoleni przeżyjem szczęśliwi na świecie.

Widzicie tedy, kochane dzieci, że sami sobie gotujecie przyszłość swoją; od was zależy zrobić ją szczęśliwą, albo okropną. Rodzice was ustawicznie przestrzegają, naprowadzają was na dobre; niechże żadne ich napomnienie nie przejdzie dla was na próżno, przeciwnie przyjmujcie je z uszanowaniem, żeby złe wady nie przeszły w nałóg, który się z trudnością wykorzenić później daje, a złe nałogi, bądźcie pewni, zawsze doprowadzą do ostatecznej zguby.

Myśli i zdania.

Kto zjada to, co ma dopiero jutro spożyć, to w końcu musi dzień taki przyjść, w którym nic mu nie zostanie do zjedzenia.

Być brzydkim lub pięknym nie w naszej jest mocy, ale być dobrym, rozumnym i poczciwym każdy może i powinien.

Mieć dobre serce znaczy: czuć niedolę ludzką i starać się jej zapobiegać pociechą, radą lub pomocą.

Cnotliwy i bogobojny nawet myśli cnotliwie i bogobojnie. Chcąc zostać takim, trzeba się starać nawet myśli nie zaprzątać rzeczą zdrożną.

W wyrazie *pilność* dla tego mieści się słowo *ość*, żeby niepilni pamiętali, iż niedbałość stanie się dla nich z czasem:

W gardle kością,
W chlebie ością.

Szarada.

Pierwsza — drzewo okazałe,
Twarde i najdłużej trwałe;
Druga, gdyście wprost ją wzięli,
Pole od gościńca dzieli;
Gdy zaś na wspak wywrócona,
Dobra złotem napełniona;
Trzecia prosta to litera,
W niej też nic się nie zawiera.
Całość w Czechach urodzona,
A polskiego króla żona,
A król ten za jej namową,
Przyjął wiarę Chrystusową.

Rozwiązanie zagadki z nr. 3. i 4.

Ma + pa.

Od Administracji. Już czwarty rok wydajemy „Opiekuna dzieci", nie szczędząc ni kosztów ni pracy, a pomimo tego nie zdołaliśmy zebrać tylu przedpłacicieli, by pokryć koszta i ulepszyć, niemniej ustalić wydawnictwo. Że zaś pismo nasze jest użyteczne i potrzebne dla szkółek, dowodem tego zdania bardzo poważnych ludzi, dowodem nadgrody przez Wys. Sejm udzielone, a szczególniéj ta okoliczność, iż 183 szkółek z Galicji, Szląska i z Księstwa zgłosiło się o przysyłanie „Opiekuna" za darmo, nie będąc w możności uiszczenia zapłaty. O gdyby tylko fundusze starczyły, nie 183 lecz wszystkim biedniejszym szkółkom posyłalibyśmy „Opiekuna" — bo wiemy z listów, iż w szkółce wiejskiej jest on pożądanym gościem. Gdyby można zebrać 600 przedpłacicieli, to dla 300 szkółek za darmo ofiarujemy „Opiekuna." W Niemczech wychodzi 39 pism dla dzieci. a jedno pod tytułem: *Kinderlaube.* ma 8700 prenumeratorów! U nas niestety jedno pismo nie może zebrać 600! Zanosimy więc prośbę o rozpowszechnienie „Opiekuna" między znajomymi.

☛ **O zaległe należytości ponownie upraszamy.**

Z drukarni Kornela Pillera. Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Aleksander Kisielewski.